

JÓZEF F. FERT

## MY POECI – MY GŁUPCY

(Nad Wyborem poezji Edy Ostrowskiej)<sup>1</sup>

*Samotność poety. W mądrości i głupocie. To jasne. To okrutne. Nie chcę o tym mówić. Tym bardziej gdy poeta jest kobietą. To prawie taki kłopot, jak z poetami księżmi czy jak niektórzy mówią wierszami księży.*<sup>2</sup>

Ale ja mam swój poważniejszy kłopot, bo nie wiem, kto tu jest czyim dzieckiem: Eda – moim, jak mogłoby wynikać na przykład z danych metrykalnych, czy ja – jej, jak niekiedy myślę. Na szczęście jest jeszcze syn Edy Bazyli, którego odważam się niekiedy nazywać Bazyliszkiem, i on wszystko tłumaczy, a nawet usprawiedliwia. Ten sam, któremu poetka zadedykowała swoją najnowszą książkę – wybór poezji *Nie znam Chrysta*.

O czym mówię? Na salonach literackich ustalono dość dawno, że dla rozwoju poety, dla nieustannego wzrostu jego „kariery” najważniejsze jest, by w stosownym momen-

<sup>1</sup> W tytule mojego szkicu użyłem słów z wiersza Ostrowskiej zaczynającego się od słów: „my poeci / my głupcy”. E. Ostrowska, *Nie znam Chrysta. Wybór poezji*. Norbertinum, Lublin 2003, s. 13. Dalej skrót WP z podaniem strony

<sup>2</sup> Por. wypowiedź Stefana Sawickiego w antologii: *Szaropolskie srebro. Wiersze księży*. Wybór, oprac. i posłowie ks. J. Sochoń, wstęp S. Sawicki. Warszawa 1992, s. 5-8.

cie przyplątał się do jego nóg rasowy krytyk, gość oblatany po zaułkach tego świata, który użyje swych ostrzonych przez lata kłów i pazurów do właściwego celu: przegryzienia dla świetlistych stóp poety właściwej i niezbyt uciążliwej ścieżki do należnej mu sławy. Jak wiadomo, ścieżka ta wiedzie na ogół przez dżunglę neutralnej obojętności współczesnych:

– Poeto, nikogo na ogół nie pytaj o pozwolenie. Bez pytania wstępuj na widownie dziejową. Tam – na tronie chwały – zasiądziesz, a u stóp twoich spocznie spracowany, ale szczęśliwy, krytyk. Może nawet podsiądzie się wyżej?

Eda musiała to sobie wyobrazić albo usłyszeć o tym dość wcześniej, bo już jako piętnastoletni podłotek zwróciła się z grubym kajetem poezji – no cóż, do kogo to dziecko miało się z tym udać – do swojego pana od polskiego, który prócz tego że był normalnym (czyli okropnym) belfrem, to prowadził jakieś tajemnicze kółko literackie czy coś w tym stylu, no i z jakimś nabożeństwem celebrował lekcje o poetach, których lubił.

Oczywiście, mała Apollina gorzko się pomyliła, bo belfer, jak to belfer, mający do czytania stopy klasówek, upracowań domowych itp. okropieństw, zupełnie się nie przejął płodami poetyckich uniesień pierwszoklasistki i kazał jej się po prostu uczyć i pisać nieco krótsze wypracowania. Ale jakże się pomylił! To nie była li tylko piana w przemijającej burzy hormonów. Eda przynosiła coraz grubsze kajety i na serio szykowała się do wspinaczki na Parnas. I cóż miał z tym zacząć uciemieniony klasówkami „pan od polskiego”, który na domiar nieszczęść kończył wówczas rozprawę doktorską o Norwidzie? W przypiływie irytacji czy przewrotnego humoru postawił przed nastolatką zadanie – jak mu się zdawało – nie do wykonania:

„– Eda, mówił ów jegomość (mała dygresja: to wszystko tu to wprawdzie cytacje z pamięci, ale zdaje się dość wiernie w treści, jeśli nie w formie, zresztą Eda może to potwierdzić lub zaprzeczyć), no więc, powiada ów belfer, skoro już tak daleko rzeczy zaszły, skoro bez poezji żyć nie możesz, a ja obowiązkowo mam uczestniczyć w rozmowach o kwiatkach Twego talentu, to proszę bardzo, zgoda na to, ale pod warunkiem, że Twoje wiersze zostaną wydrukowane w «Twórczości»; wtedy – tak, pogadamy, a teraz, naprawdę, dajmy temu pokój.” Dodam, że w czasach tego dialogu, tj. około roku 1977, miesięcznik „Twórczość” pod miłościvym kierownictwem Jarosława Iwaszkiewicza zajmował sam szczyt polskiego Parnasu<sup>1</sup>. Nolens volens Eda zgodziła się na cyrograf, a ja odetchnąłem, pewien, że upiekłem przy tym diabelskim ogniu co najmniej dwie pieczenie: święty spokój od gryzmołów Edy i – jeśli ta rzeczywiście uprze się przy swoim – zmuszenie jej do dążenia do jakiegoś „wyższego” celu niż zawracanie głowy bączkami wierszy zapracowanemu poloniście w powiatowym miasteczku nad Bugiem, sławnym – jak dotąd – głównie z tego, że codziennie się światu ogłasza, jaki też stan osiągnęły wody w przepływającej obok niego wielkiej, melancholijnej rzeki.

Mijały miesiące. Edę widywałem coraz rzadziej, nawet w szkole, a zresztą wkrótce podjęła studia w Lublinie, zdaje się polonistyczne czy bibliotekoznawcze, od czasu do czasu wpadał do mnie wspólny znajomy, Krzysio, rówieśnik Edy i opowiadał to i owo również o niej. Jakies zawikłane historie. Lecz oto któregoś grudniowego dnia roku 1979 przyszła również Eda. Początkowo chciałem jej przypomnieć umowę... ale zanim cokolwiek powiedziałem, zobaczyłem w jej ręku numer „Twórczości” z jej wierszami.

*Było to bardzo dawno jesienią  
powiedział mi tak będzie lepiej  
i wsunął przywąskie ręce do kieszeni  
pomyślałam może rzeczywiście ma rację  
odeszłam  
na skraju kufra za budką dróżnika  
porwał mnie wiatr (...)*<sup>4</sup>

Niektóre z tych wierszy, w wersji, zdaje się, nie do końca przez „Twórczość” respektowanej<sup>5</sup>, trafiły do prezentowanego dziś *Wyboru*.

<sup>1</sup> Nb nie przyjął wówczas do druku, acz bardzo słodko, proponowanej mu próbki prozy, wymyślonej przez piszącego te słowa.

<sup>4</sup> „Twórczość” 1979, nr 12, s.18; tu poetka występuje jeszcze pod pełnym imieniem Edwarda.

<sup>5</sup> Myślę o różnicach w niektórych rozwiązaniach tekstowych i graficznych, zauważalnych już w tym wierszu.

Tymczasem nazwisko Edy coraz częściej zaczęło przelatywać przez szpalty gazet i czasopism. Niemal równocześnie z „Twórczością” duży zestaw jej wierszy pojawił się w „Akcentie”, była w „Kamieniu”, „Kresach”, w „Poezji” i „W drodze”, kilkakrotnie w „Twórczości”... Niemal co rok ukazują się tomiki jej wierszy i prozy poetyckiej<sup>6</sup>.

Ale minęło prawie dziesięć lat od pamiętnej rozmowy z grudnia 1979 r., nim wywiązałem się z nonszalancko podjętego zobowiązania i zdobyłem na sformułowanie poważniejszego sądu krytycznego o tej poezji<sup>7</sup>. W pewnym sensie zmuszony, jak gdyby zniewolony masą krytyczną, która nagromadziła się przez lata rozrzućnej twórczości włodawsko-lubelskiej poetki. Czemu tak się ociągałem? No cóż, widocznie nie umiałem sobie z nią poradzić. Pocięszam się tylko, że nasza krytyka – myślę nie tylko o tej regionalnej, bo Ostrowska zdążyła w międzyczasie spod strzechy trafić na warszawskie salony – woli używać jej nazwiska raczej jako egzemplum pewnej postawy kulturowej czy stylistycznej niż prowadzić głębinowe rozmowy o jej twórczości. No na przykład główny rozdawca „przepustek do historii”, Piotr Kuncewicz w trzecim tomie swej *Agonii i nadziei*, tak skwitował zjawisko: *autorka utworów skandalizujących, epatujących nimfomanią i schizofrenią; lichy wie, jak to ocenić; Jest to świat straszliwie rozhisteryzowany (...) przecież jednak i odważny i prawdziwy; Cokołwiek by rzec, tak w poezji, jak i w prozie (...) znajdujemy sporo dziwactwa, ale i jakiś nowy, odważny i świeży ton.*<sup>8</sup>

Krytyk zakończył swą opinię pytyjską frazą: *Czy Ostrowska przekroczy zakłętą krąg swoich, tak zachwalanych bioder – i czy dobrze na tym wyjdzie – to już inna sprawa.*<sup>9</sup>

A mnie nie do śmiechu, i wcale dziś nie jest mi łatwiej pisać i mówić o Edzie niż przed dziesięciu laty, niż przed dwudziestu. Owszem, nie mam dawniejszych oporów w głoszeniu chwały tej poezji, zdaję sobie sprawę z ogromu pozytywnych przemian, jakie zaszły w jej życiu i dziełach, ale ciągle jest to dla mnie twórczość zbyt prywatnie ze mną związana, bym zdołał za pomocą szkiełka i oka polonisty z nią sobie poradzić. Widzisz, poetko, jakiego sobie krytyka wybrałaś! Wykreowałaś! Wykrakałaś!

No – to jedno przynajmniej mogę z pewnością zrobić, podziękować Ci za umieszczenie w swoim *Wyborze poezji* wiersza, który kiedyś dostałem od Ciebie na małej białej karteczce zapisanej czarnym atramentem:

*Przyjacielu pomówmy chwila jest  
spodobna Czy Ty sądzisz  
po ludzku że wraz z grzechem  
cierpieniem a w konsekwencji  
śmiercią weszła na świat Poezja  
prawdziwa  
gdybym się myliła Daj poniuchać  
intelektualisty pięść*

Lublin, 8 grudnia R.P. 1988  
Niepokalanego Poczęcia NMP nocą

(WP 113)

Nie wiem, czy po dzisiejszym spotkaniu, po tych moich na poły prywatnych wyrzuceniach Eda dalej okazywać mi będzie przywiązanie podobne do tego, jakim darzy nasze nadbużańskie oczerety i lubelskie wądolce.

*Kochane miasto tutaj  
słońce w wąwozach gasi  
pragnienie szpak  
Wiatry wschodnie i suchy  
trząsk upału albo deszcz*

<sup>6</sup> Ukazały się kolejno: *Ludzie, symbole i chore kwiaty*, Lublin, 1981; *Oto stoję przed tobą w deszczu ciała*, Warszawa 1983; *Smugi pieprzu*, Warszawa 1983 [właśc. *Gesty* – tytuł zmieniony przez wydawcę, przywrócony w *Wyborze poezji*, ale dla porządku podany obok wersji znanej z druku]; *Tajemnica I bolesna*, Warszawa 1987; *Małmazja*, Katowice 1988; *Letycja u miecznika*, Rzeszów 1990; *Psalmy*, Lublin 1990; *Krew proroków (na twoich rękach)*, Lublin 1994; *Parszywe nasienie Abrahama*, Lublin 1996; *Światłem być*, Lublin 2000

<sup>7</sup> *Bez cenzury. (O poezji Edy Ostrowskiej)*, „Akcent” 1991 nr 4, s. 97-111.

<sup>8</sup> P. Kuncewicz: *Agonia i nadzieja*, t. III: *Poezja polska od 1956*, Warszawa 1993, s. 561-562.

<sup>9</sup> Tamże, s. 562.

*bijący obłoki  
Pragnę z tobą wierzyć mi  
do Jerozolimy dojść  
łagodniej jak śmierć*

Lublin, 26 lipca R.P. 1996

(WP 164)

Skoro już o przywiązaniu mowa i o datach, to w ciągu tych trzydziestu lat, o których tu mówimy, w ciągu tego czasu, od momentu, gdy po lekcji polskiego w I „b” czy „c” kilkunastoletnia dziewczynka wręczała mi gęsto zapisany zeszyt, do dziś, gdy trzymam w ręku dokonany przez nią wybór ponad stu wierszy z wielotomowego poklosia jej twórczości – w rejestrach miejsc, umieszczanych przez nią pod wierszami, najczęściej pojawiające się nazwy to właśnie Włodawa i Lublin czy może odwrotnie: Lublin i Włodawa lub niekiedy pojednawczo: „autobus relacji Włodawa–Lublin”. A jest poza tym w poezji tej sporo uwag odsyłających do rodzinnych krajobrazów, do nadbużańsko-nadbystrzyckich realiów, do wielu konkretnych ludzi, a szczególnie rodziców poetki, którzy trafiają do wierszy Edy jakby z obrazów Dudy-Gracza, no jak tu na przykład:

*Mały pies głośno szczeka  
drobny deszcz ma pretensje Mac  
poetki Eugenia dłubie w zębach  
nieświadoma że jej dziecko to  
fenomen  
niedojrzałości Chcesz zostać moim  
hreczkosiejem skrusz Chimery  
giętkie kości względnie meszki  
owocowej z Tobą tylko z Toba sięść  
na ławie i prawusić Miszaelu*

Lublin, 12–13 czerwca R.P. 1989  
strzepując pyłki z czarnej sukienki  
i w każdym niebezpiecznym momencie

(WP 131)

A może to raczej ja wyrażam tu jakieś swoje szczególne przywiązanie do tych wierszy, znanych mi nieomal od chwili ich powstania?... Bo to są moje krajobrazy, moje lochinie, oczerety, zabahonia... moi Demczuki, Sidoruki, Iwaniuki, Pawłuki, Kusiuki, Bajuki... choć nie rodziciele... Pewnie i jedno, i drugie. Ale nie o tym chciałbym mówić jako o rzeczy najważniejszej.

Jest w tym tomie rzecz dla mnie szczególnie ważna, a przy tym dramatycznie niepokojąca i radośnie oczywista. Mimo że prezentowany tu wybór obejmuje dwadzieścia lat twórczości poetki; to jasne, bo pierwszy wiersz *Wyboru* opatrzony jest datą 10 czerwca 1977 r., ostatni – 7 czerwca 1997, to jednak zachowana została jedność artystyczna tej nowej „całości”, w którą zostały wprowadzone. Jak w mozaice, ułożonej ręką mistrza. Wypadnie za Georges’em Buffonem powtórzyć: „L’homme c’est le style”, a dokładniej: *Styl jest samym człowiekiem: stylu nie można nikomu odebrać ani przekazać*.<sup>10</sup>

„Nie znałam Chrysta” – takie wyznanie umieściła poetka na czele swojego setnika rymów „najwszelakszej budowy”<sup>11</sup>.

Nie wiem, czy jednak nie będziemy przeżywali mąk „trzeciego rzędu” przy próbach godzenia tego tytułu-deklaracji z niektórymi, szczególnie gwałtownymi wyznaniami poetki, jak np. tym:

*Ja nie miałabym serca wyciąć  
choinki w lesie chociaż święta  
skaczą do gardła*

<sup>10</sup> Por. obj. do wiersza Norwida *Pamięci Alberta Szeligi hrabi Potockiego – pułkownika – zmarłego na Kaukazie* w: C. Norwid, *Vade-mecum*. Oprac. J. Fert. Wyd. II poprawione i uzupełn. Wrocław 2003, s.147-148.

<sup>11</sup> Wyrażenie Norwida z czasu jego starań o publikację – bezskuteczną – genialnego zbioru wierszy *Vade-mecum*.

*ale tego skurwysyna co katuje  
żonę i dzieci posadziłabym  
na krześle elektrycznym Ty gdzie  
wariujesz w Sylwestrową noc*

Włodawa, 26 grudnia R.P. 1988 wieczorem  
mglistym jak karanie Boże idąc

(WP120)

„Nie znałam Chrysta” – słuszny i sprawiedliwy to tytuł, ale poetka zna moc legendy, która od lat ją otacza, za którą – myślę – sama jako reżyser niekiedy stała, więc wzmocniła tytułowe wyznanie wiary potężnym mottem, wziętym wprost ze źródła poezji – z *Psalterza Dawidowego* w przekładaniu Mistrza z Czarnolasu tak idącego tanecznym krokiem w *Psalmie 23*:

*Wrócił mię z dziwnych obłądliwości  
Na ścieżkę jawnej sprawiedliwości;  
Postanowił mię na drodze prawej  
Z chęci ku słudze swemu łaskawej.*<sup>12</sup>

Słusznie poetka napisała nad wnijsiem do swego Puragatorium: „Nie znałam Chrysta”. Z wielu względów słusznie i jak najśluszniej.

Po pierwsze to czas przeszły, więc jak po spowiedzi można z dystansem i nadzieją rzec: „nie znałam...”, ale już znam! Jakże wiele to tłumaczy, aczkolwiek nie sposób uwolnić się od pytań: jak to, na tej od tysiąclecia chrześcijańskiej ziemi – nie znałaś? pośród wolnych acz stanowczych wezwań dzwonów sławatyckiej cerkwi i sławatyckiego kościoła, pośród regularnych jak licznik Geigera świąt łacińskich i greckich odmierzanych przez łaciński kościół i grecką cerkiew we Włodawie, pośród chrześcijańskiego ludu i nieco na wywrót chrześcijańskiego, ale przecież zawsze jakos chrześcijańskiego polskiego państwa ludowego?

Nie mogę uwierzyć. Nie chcę. I muszę. To na szczęście „czas przeszły”. I mam nadzieję, że nie tylko gramatycznie „czas przeszły”. Po drugie użyła archaicznej formy deklinacyjnej „Chrysta”, miast potocznej dziś „Chrystusa”, czym dała – przynajmniej jak dla mnie – najbardziej przekonujące świadectwo prawości poetyckiego sumienia, dla którego – jak świat światem – najważniejsze jest to, co się mówi, ale i owszem jeszcze ważniejsze – **jak się mówi**. A właśnie to, jak mówi ta poetka, pozwala ją bezbłędnie odróżnić pośród tysięcy współczesnych poetów. „L'homme c'est le style”. Świadomie użyty archaizm, prawie nieobecny w naszym języku, prócz może wielkanocnego pienia sprzed wieków: „Wysławiajmy Chrysta Pana, który starł śmierć i szatana...”<sup>13</sup>, a przecież tak oczywisty, porusza w nas jakąś niecodzienną strunę, pobudza nerwy z tworzyw sztucznych do czegoś więcej niż tylko uprzejma uwaga, zmusza do przekroczenia granicy codzienności... Poeta to ktoś, kto odkrywa nieznanne – lub, co częściej – zapomniane moce języka, w którym się urodził, który go zrodził, którym pragnie przemówić do swej współczesności!

Ale jeszcze, coś jeszcze jest w tym niezwykłym naczółku Edzinego wyboru poezji. Słyszę w tym **jęk jestestwa** osaczonego przez grozę zdarzeń, przez trud istnienia. Tak wzdychała moja świętej pamięci Matka w najtrudniejszych momentach życia: „Chryste, Chryste...”; w codziennych udrękach pojawiały się wezwania bardziej codzienne, jak np.: „O, Matko Święta”, „Mater Dei”, „O, Święci Pańscy”, itp. Zwrot do Chrystusa, i to w takiej ostatecznej formie gramatycznej, nie pojawiał się prawie nigdy. Oczywiście ten zwrot użyty w nagłówku wyboru wierszy autorki w pełni dojrzałej, a też w świadomości literackiej niezłe zapisanej ma swoje głębokie przyczyny; co ważniejsze – te przyczyny uzyskują poetycką artykulację dopiero pod koniec tomu, ale – jak się orientuję – dojrzewały na strunach tych wierszy znacznie wcześniej. Więc dlaczego ich tu nie ma? Czy raczej – tak ich niewiele, że aż strach, że ten czy ów cenzor uzna jej wiersze za pogańską deklarację wszystkoizmu??...

<sup>12</sup> Jan Kochanowski: *Dzieła polskie*. Oprac. J. Krzyżanowski. Warszawa 1980, s. 331.

<sup>13</sup> *Pieśń wielkanocna*, wedł. Siedleckiego, z XVII w. (w:) ks. J. Siedlecki, *Śpiewnik kościelny* Wyd. XXXVIII, zmienione. Red. K. Mrowiec CM. Opole 1982, s. 104.

Widocznie nie dostały laski autorskiego imprimatur. Jeszcze... może nigdy... Ale autorka wycięła w swym wyborze z dżungli swych wierszy i te skupiska poetyckich emocji, które – skazane na wieczne milczenie – rzeczywiście nigdy się już nie odezwą?

Zostało jednak dość, by śledzić drogę Edy do przystani, nad którą świeci słońce Bożej Opatrzności. Zestawmy dla przykładu dwa wiersze: pierwszy z roku 1988:

*Mnie sam Bóg nie wystarcza  
ja chcę nałapać u ciebie trochę  
miłości Czy trafiłam pod dobry  
adres (...)*

(WP 117)

Dalej przemilczę – przez wzgląd na subtelny słuch niektórych miłośników poezji, który nie może sobie poradzić z językowym wulgaryzmem, aczkolwiek jakoś – zapewne z największym trudem – znosi wulgaryzm potocznego życia. Pod wierszem charakterystyczny dopisek: „Lublin, 21 grudnia R.P. 1988 wieczorem / gryząc się i deptając ziemię”.

I drugi głos, prawie dziesięć lat późniejszy, który zresztą uznać można za wiersz tytułowy zbioru:

*Nie znałam Chrysta  
brałam w koszycek blond włosy  
z rozkoszy drżałam we śnie  
życie moje Teraz  
kiedy jestem żoną  
i mam złote kółeczko na palcu  
mówię Ojczy nasz pozwól spocząć  
w ciemnym borze gdzie Ty i ja*

(WP 165)

Jest to przedostatni wiersz tomu, jak przedostatnie słowo przed zamknięciem poety. Ale ja w nim nie czuję finału. Owszem rozładowało się tysiące chmur, nie lyska z pierwszego lepszego obłoczku, nie przybija nas do ziemi niespodziewana nawałnica z „małej chmury”. Świat jakby odzyskuje kosmiczny ład; bezsens zamyka się w złotym kółku... Ja jednak nie znajduję happy-endu. Ani wiersz, ani świat. Nie znajduję nawet w ostatnim wierszu, którego bohaterem jest dziecko poetki:

*W lesie rozwarła się  
furta drzew i wpadł  
szczekający pies słońca  
Moje dziecko ma nóżki jedwabne  
a tutaj kasa żmija  
w wodzie kamyczki polerowane  
lecz życie twoje rozlane  
daremnie Masz w niebie  
Tatusia i haftowaną podusję  
z chmur*

Wesoła, 7 czerwca R.P. 1997  
Niepokalanego Serca Najśw.  
Maryi Panny

(WP 166)

Nad całą tą poezją unosi się nieprzemijająca atmosfera niepokoju, cierpienia, trwogi, a równocześnie w tych wierszach nieustannie bije potężna wola sprostania grozie istnienia, zamówienia jej, zaryglowania w wierszu, gestem, tańcem, kabotyńską zgrzywą, zaklęciem niewieścim<sup>14</sup>, magicznym zaklęciem czy modlitwą. Te wiersze to nie wiersze – to zaklinanie życia, to przyzywanie na pomoc samego Boga, by raczył cieniom tego żywota użyczyć nieco światła:

<sup>14</sup> Z wiersza: *I nigdzie uciec...* „Twórczość”, dz. cyt., s. 19

*Wyrośłam nad Bugiem  
gdzie orzeł w porożach koronę przegwizdał  
Ciele o zielonych oczach  
z dużym nosem i niesłychaną  
wrażliwością  
Pędziłam żywot cienia  
co w doświadczenia rzucał się  
z pogardą Trafilo na ryzykantkę  
Miłość pragnie miłować*

Lublin, 14 lutego R.P. 1996  
św. Cyryla i Metodego

(WP 158)

Tu aż się prosi o przypomnienie jeden z najbardziej przejmujących wierszy-modlitw Stanisława Grochowiaka<sup>15</sup>:

*(...)  
O kopalnio naszych natchnień  
O fabryko naszych pogód  
O kościele naszych cierpień  
Na księżycu wąskim sierpie  
Matko Boska mądra taka  
Ześ jak ogród z plonem task  
Rzuc najmniejszy choćby blask  
W ciemne wiersze Grochowiaka*

Myślę, że wiersz Grochowiaka mogę spokojnie przyłączyć do dzisiejszego spotkania z „fenomenem” Edy Ostrowskiej.

Ale żeby nie kończyć tak melancholijnie, w tak bardzo ściemnionej tonacji, wróć jeszcze do fragmentu cytowanego już wiersza, jako że niezwykle trafnie oddaje los wszystkich odmieńców, głupców i poetów – bez których jakże ponure i nudne byłoby nasze życie:

*(...) Mać  
poetki Eugenia dłubie w zębach  
nieświadoma że jej dziecko to  
fenomen (...)*

I może jeszcze jeden kapitalny obrazek na pociechę:

*Mój ojciec szuka szrubki do roweru  
ja szukam szczęścia znajomi  
moich znajomych szukają frajera  
do zrywania truskawek A ty za czym  
się rozglądasz*

(WP 118)

---

Eda Ostrowska: *Nie znam Chrysta. Wybór poezji*. Norbertinum, Lublin 2003, ss. 172.

<sup>15</sup> S. Grochowiak: *Modlitwa*, (w:) tegoż *Wybór wierszy*. Warszawa 1965, s. 7.